Nr. 36 Rok 2 Kraków, dnia 7 września 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI

WSCHODZĄCE GWIAZDY BALETU POLSKIEGO STANISŁAWA SELMÓWNA I TADEUSZ WOLIŃSKI W POETYCZNYM OBRAZKU TANECZNYM „WALC KLASYCZNY" GROSCHEL'A.

W NASTĘPNYM NUMERZE OBSZERNY REPORTAŻ ILUSTROWANY

GENERAŁOWIE SOWIECCY W NIEWOLI

Po każdej bitwie na wschodzie, coraz to nowi dowódcy oddają się w ręce niemieckie. Skutkiem tego tracą Sowiety ustawicznie ważnych i niezastąpionych wodzów. Ilustracja przedstawia moment przesłuchiwania przez oficerów niemieckich dowódcy 12-tej armii sowieckiej, generała Ponedielima (w środku) i generała Kiryłowa komandora 13 sowieckiego korpusu, wziętych do niewoli pod Humaniem.

GRUZY LONDYNU W OBRAZACH

Brytyjscy rysownicy, pełniący służbę w pomocniczej straży pożarnej utrwalili w szkicach, rysunkach i obrazach to olbrzymie i ciągle jeszcze zwiększające się zniszczenie, wywołane niezliczonymi nalotami niemieckich bombowców. Część tych obrazów wysłano niedawno do Ameryki, gdzie urządzono z nich specjalną wystawę w Waszyngtonie. Wystawa miała skłonić Amerykę do wzięcia udziału w wojnie Europejskiej, jak dotąd bezskutecznie. Nasza rycina przedstawia lorda Halifaxa, angielskiego posła w Nowym Jorku i jego małżonkę w czasie zwiedzania tejże wystawy.

Fot. Ass. Press (4), Atlantic (2), Scherl (2)

Na lewo:

OSTATNIE KOMUNIKATY Z FRONTU

Władcy z Kremlu twierdzili przez całe tygodnie, że wojska niemieckie Smoleńska nie zajęły i wymyślali najrozmaitsze bajeczki i kłamstwa. W końcu prawdy nie dało się dalej ukrywać, gdyż liczni dziennikarze zagraniczni wzięli udział w uroczystym inauguracyjnym nabożeństwie odprawionym w katedrze smoleńskiej. Ilustracja na lewo przedstawia mieszkańców Smoleńska odczytujących ścienne gazety informujące ich o sukcesach oręża niemieckiego.

CAUDILLO MIĘDZY SWOIMI ROBOTNIKAMI

Hiszpania, która przed kilku laty odczuła na sobie samej skutki „błogosławieństwa systemu bolszewickiego" walczy obecnie przez swoje ochotnicze pułki, ramię przy ramieniu z innymi europejskimi narodami, przeciw bolszewizmowi, a przez to i przeciw Anglii. Nasze zdjęcie (u góry) przedstawia hiszpańskiego naczelnika państwa, generała Franco, w czasie zwiedzania wielu zakładów państwowych. Robotnicy tych zakładów entuzjastycznie pozdrawiają generała Franco.

ZACIEMNIENIE W NOWYM JORKU

W kole:

Brodway w Nowym Jorku niedawno pogrążony był w ciągu jednego wieczoru w zupełnych ciemnościach, bo robotnicy zakładów elektrycznych wyłączyli 400.000 lamp i dozwolili tylko na oświetlenie reklam i okien wystawowych. W ten sposób zaznaczyli swą sympatię dla strajkujących towarzyszy. Stany Zjednoczone przeżywają obecnie wielkie ruchy strajkowe.

NIEMIECKA FLAGA WOJENNA NAD CHERSONEM

Przez zajęcie Chersonu, znanego miasta portowego i przemysłowego leżącego nad Morzem Czarnym, wpadł w ręce niemieckie ważny punkt sowieckiego przemysłu wojennego. Ilustracja na dole przedstawia hale składowe (część ich pali się) po zdobyciu miasta.

ZNISZCZONE SOWIECKIE TRANSPORTY POSIŁKÓW

Raz za razem armia niemiecka komunikuje o skutecznych atakach niemieckich i sprzymierzonych z nimi sił lotniczych na bolszewickie transporty rezerw czy to pociągów pancernych, czy motorowych wozów ciężarowych. Ilustracja nasza przedstawia wóz kolejowy i tanki, tak zniszczone przez niemieckie bombowce, że już do walki użyte być nie mogą.

NIEMIECKIE BOMBOWCE NAD MOSKWĄ

Moskwa, stolica rządu sowieckiego przeżywa co chwila ciężkie ataki niemieckiej broni lotniczej, przy czym celem ataków są ważne pod względem wojskowym zakłady przemysłowe. Migawkowe zdjęcie (na prawo), które naszym czytelnikom podajemy, doszło nas na drodze okrężnej. Okazuje ono wyraźnie skutki działania niemieckich bombowców na ważne obiekty wojskowe w sowieckiej stolicy.

Zdjęcie oryginalne ze spotkania Roosevelta z Churchillem na okręcie „Książę Walii". Przed konferencją polityczną odprawiono nabożeństwo. Ilustracja u góry przedstawia Roosevelta i Churchilla z księdzem do nabożeństwa w ręce. Jest to poza typowo amerykańską, to obłudne połączenie religii i interesu, religii i polityki. Tylko Amerykanin i Anglik może dopuścić się takiego bluźnierstwa, by stojąc w ścisłym związku z bolszewizmem, równocześnie w modlitwie i w hymnach wzywać boskiej pomocy. Nic dziwnego, w tych krajach przecież kwitnie sekciarstwo w najwyższym stopniu i z prawdziwego chrześcijaństwa pozostało zaledwie parę formuł i nazw. Ale Anglia połączona ściśle z żydostwem, zalicza się sama do plemion żydowskich, a z nią harmonizuje doskonale faryzejskie postępowanie Roosevelta, który pochodzi podobno z żydów.

Napad na Iran

Gdy Winston Churchill jechał na spotkanie z prezydentem Rooseveltem miał on nadzieję a z nim cała Anglia, że jednym z wyników tajnej konferencji będzie przystąpienie Ameryki do wojny z Europą. Ale jakoś do tego nie doszło ku wielkiemu rozczarowaniu Anglii. A jednak na pokładzie angielskiego parowca „Książę Walii" była na pewno mowa o prowadzeniu wojny z Niemcami. Czy przy tej okazji omawiano również napad na Iran nie przesądzamy.

Jedna z najpiękniejszych bram miejskich w Teheranie, stolicy Iranu.

Podstawą bogactwa Iranu są obfite źródła ropy naftowej. Głównie ze względu na te źródła napadła Anglia na Iran.

W każdym razie niespodziany napad na neutralny kraj odpowiada najdokładniej polityce sojuszu angielsko-amerykańsko-sowieckiego. Jak często oburzano się w Anglii obłudnie i z miną zacnego człowieka na drogi polityki niemieckiej, mówiono np. o nikczemnych napadach na Norwegię i Belgię, na Holandię i byłą Jugosławię. Dopiero w ostatniej mowie Churchill wspominał o tym przemawiając jednocześnie przez radio do ujarzmionych narodów i prawie o tej samej godzinie premier angielski dawał rozkaz wymarszu angielskim oddziałom do neutralnego Iranu, by zmusić ten wolny naród do porzucenia własnej polityki, polityki, która przeciwstawiała się planom Anglii i Sowietów. Właśnie w Iranie zahaczały się rosyjskie i angielskie interesy, a najczęściej chodziło o źródła ropy naftowej, tak, że niejednokrotnie omal nie doszło między nimi do wojny. W roku 1919 udało się nawet Anglikom wypędzić Sowiety z Iranu, do którego właśnie wtargnęli. Ale gdy plutokraci w Anglii i w Ameryce odkryli, że z bolszewikami w Rosji sowieckiej mają bardzo wiele wspólnych interesów,

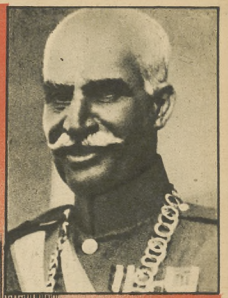

Reza Pahlavi, szach Iranu.

wezwali ich do współpracy, do czego przyczyniła się jeszcze angielska trwoga przed legendarną piątą kolumną Niemców w Iranie. Dziś żołnierze angielscy i sowieccy wtargnęli zamię przy zamieniu do kraju, który do ostatniej chwili bronił się wszystkimi siłami przed wciągnięciem go w wojnę. Jest to smutny triumf i zbyt tanie zwycięstwo, gdy potęgi takie jak Rosja i Wielka Brytania, aż po zęby uzbrojone, napadły zdradziecko słaby i prawie bezbronny Iran i obaliwszy go nikczemnie, nóż mu do gardła kładą. W międzyczasie zrzuciła Anglia płaszczyk moralności i otwarcie oświadczyła, że potrzebuje bezwarunkowo Iranu, zarówno jako pomostu do swych posiadłości azjatyckich, jako też ze względu na źródła naftowe. Anglia i tym razem wraz z Sowietami poświęciła niezawisły kraj swym samolubnym interesom.

Fot. Slg. Seiler 2, Scherl 3, Au. Press Tschira, Atlantic

Mapa pokazuje jasno i wyraźnie, że Iran jest ważnym pomostem między angielskimi posiadłościami na Morzu Śródziemnym i w Azji. Na wschodzie granicuy Iran z Unią Sowiecką.

Na lewo:
Żołnierz ze straży przybocznej szacha Iranu.

Na prawo:
Wielkie obszary kraju nie mają najmniejszego kontaktu z kulturą. Ilustracja przedstawia kobietę i jej zwierzę pociągowe.

Między Teheranem a Tabryzem leży małe miasteczko Zengan, posiadające stację autobusową. Mało jest jeszcze w Iranie linii kolejowych. Komunikacja odbywa się głównie przy pomocy autobusów.

SUPER-MASEŁKO

— A, dzień dobry, dzień dobry, panie Kołodziejczyk, co nam pan powie nowego? — powitały unisono cztery głosy niewieście z wielkiego biura handlowego swego młodego kolegę.

— Rączki całuję — kłaniał się kolega, zdradzający ogromne podobieństwo do krowoderskich zuchów, co to mają po dwa brzuchy. — Nic nowego narazie.

Ponieważ „nic nowego" było wręcz niesprawdopodobne u tego młodzieńca, który obracał się w wielkim świecie, powiedziwszy w tym wojennym, handlowym wielkim świecie, panny zrobiły wielkie oczy i minę niedowierzającą. Spostrzegłszy to niedowierzanie, młodzieniec chrząknął znacząco i dodawszy sobie w ten sposób więcej powagi, powoli wyczedził:

— Nnnno... tak, miałbym coś dla pań; przyniosłem właśnie pokazać. O, komplety duńskie; pierwszorzędne. To dopiero na figurce widać. Wspaniałe się rozciągają — demonstrował różowe majteczki, nadające się na figurki trochę bardziej zaokrąglone niż jego świętą dłoń służącą za model. — Co tu dużo gadać! — gatunek? proszę siadać!

Cztery sylwetki na przekór tym słowom pochyliły się nad stosem różowości, pławiąc palce w miękkim jedwabiu.

— A po ile pan to sprzedaje? — pyta przymilna blondyneczka tonem, w którym drga ochota na kupno i równocześnie przeświadczenie, że i tak nie będzie mogła kupić.

— Dla pani: tylko 60 złotych.

— Strasznie drogo — dziwi się blondyneczka.

— Proszę panią — tu następuje grymas, mający wyrazić bezgraniczną pogardę dla marnych 60 złotych — co to jest dziś 60 złotych? To nic pieniądz. Zresztą — ja się o to nie martwię, zaraz sprzedam.

— Dla mnie za małe — stwierdza blondynka o obfitych kształtach. — Jak pan będzie miał szóstkę, niech pan dla mnie zarezerwuje.

— To prawie dla Halisi — czuli się z sobą samą jasnowłosa pani, o spłoszonym wyrazie twarzy i trochę nieprzytomnym spojrzeniu. — A czy zaraz płatne?

— Pani rozumie — gest człeka doświadczonego w tych sprawach — pieniądz robi pieniądz. Dziś czekać się nie da. Mam jeszcze przepiękne pończoszki — kusi dalej wymowny i obrotny młody człowiek. — Ale te trzeba zobaczyć. Gazowe, poproszę pajęczynka! — Wprawnym ruchem nacisnął na dłoń rzeczywiście śliczną pajęczynkę, przykuwając doń cztery pary pożądliwych oczu. — Tylko 45 złotych! A co to za pończoszki! Panie samo widzą!

— Widzimy, widzimy aż za dobrze, że to nie dla nas — wzdychają niewiasty — musimy kupować teraz mocniejsze.

— No, tak — powiada młodzieniec, pakując towar z powrotem — ja się nie przejmuję, to pójdzie zaraz!

— Panie Kołodziejczyk, a nie wie pan o prawdziwej herbacie? — pyta znowu jasnowłosa pani.

— Owszem, mam w domu wspaniałą herbatę, portugalską, pierwszej klasy — trzepie jednym tchem nowokreowany handlarz.

— A jaka cena? — Trochę w tym pytaniu obawy, że będzie tak samo przystępna jak poprzednie.

— 50 złotych!

— Za kilogram? — pada niewinne pytanie.

— Ha, ha, ha — śmieje się zuch krowoderski — za kilogram? Za 10 dkg. Pani uważa, że to cena horendalna. Trudno, proszę panią, trzeba zarobić, musi się jakoś żyć. Pani wie? Dziś na porządną lumpkę nie ma się co wybierać z 50-złotówką.

Aha, tu widzimy, że on rzeczywiście jakoś sobie żyje.

— Ja mam jeszcze trochę róży cesarskiej, także dobra a tańsza — mówi pani Halisia, która lubi współczuć samej sobie.

— Co tam róża cesarska — wyczuwa się wyraźne lekceważenie tej cesarskiej róży. — Moja portugalska — to dopiero herbata, palce lizać — ni w pięć, ni w dziewięć dodaje młodzian — a jak się jeszcze doleje śmietanki!

Wydaje się to wyraźnym bluźnierstwem. Przecież wszystkim paniom wystarczy ledwie na „Niko" lub „Tonga", a tu mowa o śmietance, jakby to była woda z kranu, którą każdej chwili można czerpać bez ograniczenia.

— A ma pan może materiały na ubrania męskie? — pyta okrągłutka szatynka?

— Mogę się postarać — ton człowieka nie znającego niemożliwości. — Metr 450 złotych.

— Oj, oj, oj — dziwi się pytająca.

— A jak pani myślała? Jeden mój znajomy wziął ode mnie piękny materiał. Ubranie — cacko! Kosztowało go 2000 złotych. Nawet krawca mu nastręczyłem. A jaki zadowolony! Zaprosił mnie na oblanie. Kosztowało go to 240 zł. Tak, tak, proszę pani, robi się interesy.

— Panie Kołodziejczyk, a miałby pan masło?

— Czemu nie? Zrobi się. Ile pani potrzebuje? Kilo? Jutro będzie.

— A w jakiej cenie? — zapytuje szatynka.

— Dla pani zrobi się ceną specjalną: 32 złote. Ale to masełko!? To super-masełko, powiadam.

— No tak, ale czemu tak drogo? Podobno potaniało.

— Pod Bogiem — następuje potężne uderzenie w pierś — nie mogę inaczej. Mnie samego tyle kosztuje. Ja do tego dołożę.

— Nie opowiadajże pan hajek, gdzie by tam pan dokładał — śmieje się ubawiona szatynka. — Niechże mi pan przyniesie już to super-masło, tylko napewno.

— Zrobione!

Z tymi słowami przedsiębiorczy młodzieniec, handlujący samymi super-towarami, opuszcza towarzystwo, by w następnym pokoju zacząć to samo od nowa.

W.

LIST Z LETNISKA

Moczydół — sierpień 1941.

Drogi Mężu!

Przeklinam tę godzinę z minutami, o której podług rozkładu kolejowego wyjechałam na letnisko, a Ty, biedaku, zostałeś w Warszawie.

Jeszcze nadarzyła się sposobność przekonania, że wszelkie cierpienia i troski lepiej dzielić wspólnie, zwłaszcza że już sama nie mam siły do podstawiania kubełków i szaflików w mojej izbie.

Bo trzeba Ci wiedzieć, że deszcz tutejszy tym się różni od warszawskiego, że gdy tam leje się z nieba, u nas płyną całe potoki z sufitu, i mimo ciągłego wylewania wody z izby przez okno, ubiegłej nocy, gdy na chwilę zasnęłam, o mało co łódka dziecinne nie zaczęło pływać.

Kup kajak albo wynajmij łódkę i przywieź nam jak najprędzej, bo muszę stąd się wydostać przecież choćby po sprawunki, trzywiec kostium kąpielowy, który zapomniałam, przyda mi się bardzo, bo dookoła chałupy jest teraz jezioro. Będę mogła trochę popływać!

Wczoraj pod wieczór udało mi się posłuchać, jak gospodarz rozmawiał ze swoją kobietą, że gdy tak dalej pójdzie, to wszystko zginie. Zrozumiałam odrazu, że miał mnie na myśli i tylko siłą woli powstrzymywałam się od płaczu, bo nie chciałam robić w izbie jeszcze większej wilgoci, a i bez tego już mnie drze w kolanie, dla którego lekarz zalecał mi Busk.

Dzieci dotychczas w niezłych humorach i nie zdają sobie sprawy z groźnej sytuacji i cieszą się, że będą miały w chacie ryby, a nawet Staś prosił, żebyś mu koniecznie wędkę przywiózł. Tych ryb jednak nie widać, narazie mamy kilka żab, których się panicznie boję i czekam Twego przyjazdu, abyś je stąd przepędził.

Stosunków tu z nikim nie utrzymujemy i w ogóle nie mam pojęcia, czy jest kto ze znajomych, dopóki nie przywieziesz kajaka albo łódki, nie będę mogła nosa z chałupy wytknąć, ani u siebie przyjmować i zamrę pewnie z nudów, tylko żal mi sierot zostawiać, bo cóż one temu winne.

Twoja

Stacha

P. S. O ile masz zamiar nocować z nami, to przywieź z sobą koniecznie hamak. Zawiesimy go u pułapu i chociaż będzie się lało na Ciebie, woda przeleci dziurkami od hamaku i przynajmniej nam nie utoniesz, bo co jakbym bez Ciebie robiła.

Zamiast kołdry weź z sobą palto nieprzemakalne, które wisi w przepokoju, o ile go jeszcze nie ukradziono, bo ty zwykle mało zwracasz uwagi na to, co się w domu dzieje.

Jeszcze raz Twoja.

Stacha

Czesław Pudłowski

Dlaczego kobiety kochają wysokich mężczyzn?

Amerykanie są niezmordowani w roztrząsaniu, objawów życia codziennego, w psychologicznym ich rozsadzaniu i klasyfikowaniu. Pewien amerykański profesor postawił sobie jako cel swych badań pytanie: Dlaczego wolą dziewczęta mężczyzn wysokiego wzrostu? Rozmawiał on z wielu kobietami na temat ich ideału męskiej piękności i zawsze słyszał: „A, jest ładniejszy niż B., bo jest wyższy". W ten sposób sprawdził swoje przypuszczenie, że wysoki wzrost odgrywa niepoślednią rolę i pociąga kobiety. Skłonność tę łatwo można wytłomaczyć podświadomą pamięcią czasów, w których tylko wysoki, silny mężczyzna był w stanie obronić żonę i dzieci.

Przy roztrząsaniu tego pytania w pismach amerykańskich podała pewna pani całkiem inną przyczynę tej skłonności kobiet do wysokich mężczyzn. Kobiety zdają sobie doskonale sprawę z tego, — pisze ona, — że z wysokimi mężczyznami o wiele łatwiej można dojść do porozumienia niż z małymi. Jest rzeczą powszechnie znaną, że tak zwana silniejsza płeć, która się wyróżnia dużym wzrostem, najłatwiej wpada pod pantofel. Wysoki mężczyzna, wrażliwy jest na widzik kobiecości, uważa on owczą żonę za coś dolikatnego i kosztownego, z czym musi się ostrożnie obchodzić. A kobieta to wykorzystuje.

Matematyka

W każdym przedstawieniu cyrkowym następuje ta ważna chwila, kiedy muzyka przestaje grać a uwaga publiczności koncentruje się z niezwykłym napięciem na artystach wykonujących swoje „salto mortale". Nazwa ta oznaczająca „skok śmiertelny" bynajmniej nie jest przesadzoną: trzeba pamiętać, że jeden nieprzemyślany krok, jedno małe drgnięcie, jedno źle obliczone poruszenie, a cała misterna budowla wzniesiona z ludzkich ciał runie i może pozbawić życia niejednego z uczestników pokazu.

Na lewo: Oto jeden z najtrudniejszych popisów akrobatycznych, z jakimi możemy się spotkać w cyrku: akrobata wyrzucony z trampoliny przebywa w powietrzu elipsę i „ląduje" na fotelu trzymanym przez swego kolegę.

Fot. Tschira

Na prawo: Chodzenie po linie z długim drągiem w ręku i w dodatku z obciążeniem w postaci drugiego akrobaty, musi być skoordynowane co do najdrobniejszych szczegółów, gdyż inaczej obaj artyści straciliby równowagę. Akrobata z drągiem w ręku tworzy rodzaj wagi, której oba ramiona stanowią ramiona drąga.

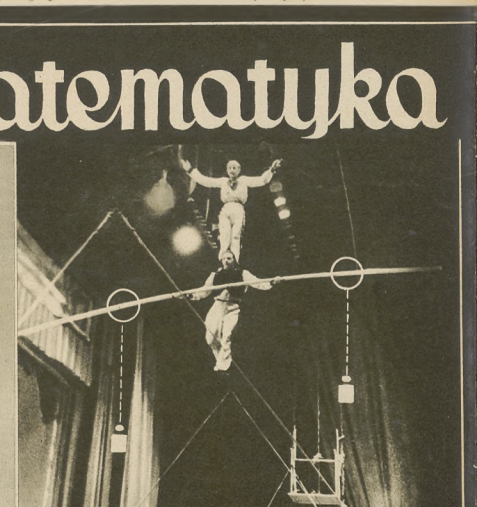

kazu. Nie byłoby też przesadą, gdyby tych ludzi, wykonywujących te pokazowe łamańce, nazwało się „matematykami liny". Istotnie pracują oni przy dokładnym obliczeniu praw fizyki i matematyki, harmonizując wszystkie swoje ruchy razem wzięte w jedną idealną całość.

Oczywiście, że do takich rezultatów dochodzi się dzięki wieloletniej wprawie, że nie może tu

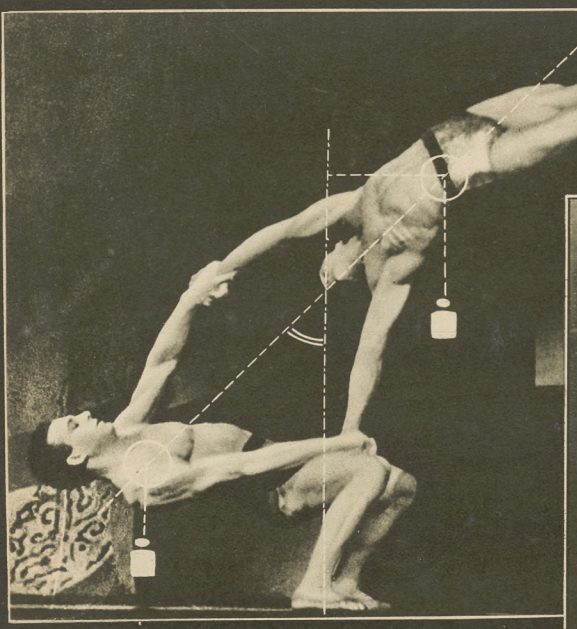

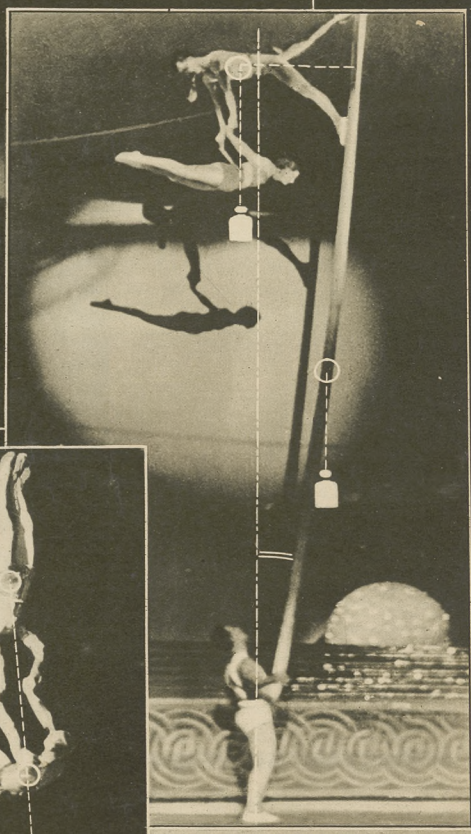

Obaj akrobaci tworzą rodzaj wagi, przyczym dolny jest lewym ramieniem tej wagi, którą obciąża całym swym ciężarem, partner zaś jego tworzy prawą jej szalę.

w Variété

Przy wykropkowanym kącie posiadają punkty ciężkości w punktach oparcia odpowiedni odstęp od pionowej, zapewniający równowagę.

Na prawo: Również i ta sztuka akrobatyczna posiada wiele cech „cudowności" trzymając publiczność w napięciu. Polega ona na tym, że jeden z akrobatów spów trzyma swymi zębami a raczej ustami linę, która stanowi oś całego pokazu. Oczywiście, że im prędsze stają się ruchy akrobatów ćwiczących na drągu, tym silniej musi on trzymać linę, co nie jest znowu łatwą sprawą.

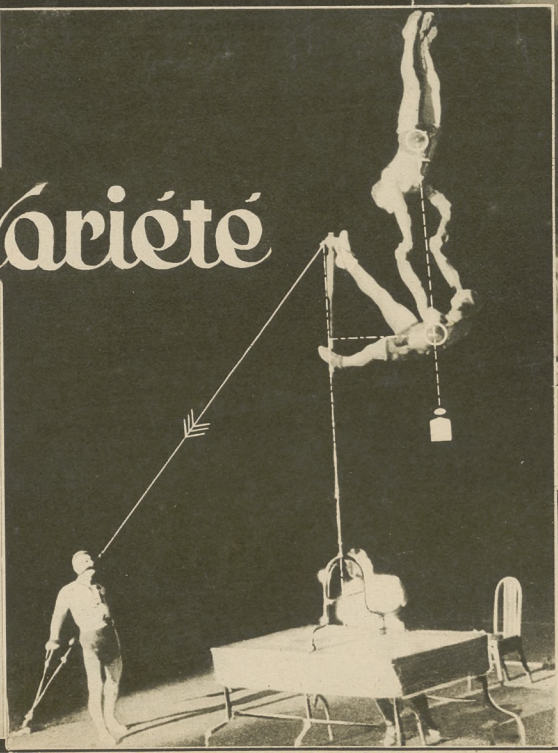

Powyżej: To jest również jeden z tych popisów akrobatycznych, którym publiczność przygląda się z zaparitym oddechem. Rola akrobaty, trzymającego drąg, polega na tym, że musi baczyć, aby kąt, pod którym się tenże znajduje pozostał ciągle ten sam i wtedy między dwoma akrobatami, wykonującymi w powietrzu swoje ewolucje, panuje równowaga.

być mowy o improwizacji, że potrzeba też niezwykłego wyczucia równowagi, gibkości, i wielu innych zalet ciała. Ale nie mogą one być jedynymi walorami tych bohaterskich nieraz linoskoczków, również duch ich musi być opanowany, spokojny i pełen bohaterski.

Zobaczymy, jak się wykonuje jeden z tych pokazowych „numerów". Jeden z akrobatów trzyma silnie w rękach krzesło, na którym ma usiąść, wykonawszy w powietrzu potężny „looping", kolega jego, rozpoczawszy swój skok z trampoliny. W powietrzu zalicza on szereg osów-floresów i dokładnie, z matematyczną dokładnością, nie odbiegającą ani na milimetr od narysowanego schematu, spada prosto na fotel.

A oto drugi pokaz akrobatyczny, niemniej od pierwszego trudny i wymagający matematycznego obliczenia: przy pomocy długiego drąga, którego końce są ciężkie, utrzymuje artysta równowagę, kolega jego zaś, stojący na jego ramionach, musi z niezwykłą dokładnością zastosować się do jego ruchów. Im wyżej odbywa się ta sztuka, tym dłuższym musi być ten drąg, gdyż akrobata musi się liczyć z przeszkadzającymi prądami powietrznymi.

KRZYŻ CZY GWIAZDA SOWIECKA

Dokoła cerkwi ukraińskiej założyli bolszewicy park rozrywkowy. Jedną z wież kościoła zamieniono na wieżę skoków dla spadochroniarzy.

Wśród gruzów zburzonych domów przez bolszewików wznosi się katedra w Smoleńsku.

NABOŻENSTWA ZNOW SIĘ ODPRAWIAJĄ

Dziwnym zrządzeniem opatrzności przez zamianę katedry w Smoleńsku na muzeum bezbożnicze kościół ten uszedł zagładzie. Chociaż całe miasto spłonęło doszczętnie spalone przez cofające się hordy bolszewików, tak, że mieszkańcy zastali po powrocie tylko ruiny, katedra ocalała. Pięć jej wież kopulastych błyszczy jak zawsze w letnim słońcu. Niemieccy żołnierze po zajęciu miasta znów zamienili muzeum na kościół, a usunąwszy z niego eksponaty wystawowe, transparenty i napisy bezbożne przywrócili wnętrzu kościoła dawny blask. Fakt, że właśnie niemieccy żołnierze umożliwili mieszkańcom Smoleńska po dwóch dziesiątkach lat odprawienie uroczystego nabożeństwa, stanowi jakby symbol walki Niemiec z Bolszewikami. Bolszewicy tępili chrystianizm twierdząc, że to opium dla ludu, pod silną ochroną miecza niemieckiego odbyło się w katedrze smoleńskiej pierwsze uroczyste nabożeństwo. Niezmiernie wzruszającym był widok tłumów ciągnących zewsząd przez miasto ruin ku katedrze. Dzwon wzywał je jak niegdyś na modlitwę. Z ust do ust szła wieść: niemieccy żołnierze przerobili katedrę z powrotem na kościół, na dom boży, wyrzucili stamtąd muzeum bezbożnictwa. Gdy katedra zapełniała się aż po ostatnie miejsca, w jednej z bocznych kaplic wkładał kapłan szaty liturgiczne. Łzy spływały mu po policzkach i siwej brodzie. Pamięć stawia mu przed oczy postacie pomordowanych braci kapłanów. Nasuwają się wspomnienia wieloletniej tułaczki i ukrywania się po lochach, piwnicach i chatach życzliwych wieśniaków. Ileż to razy rząd sowiecki tropił go i ścigał. A jednak jakimś zrządzeniem bożym udało mu się ujść rąk sowieckich siepaczy. I teraz oto po długich, długich latach będzie znów celebrował przy ołtarzu świętą ofiarę, gdyż oręż niemiecki roztacza swą opiekę nad oswobodzonym od bolszewików krajem. Podczas gdy starsi ze łzami w oczach po raz pierwszy od wielu lat śpiewają swe starodawne, ukochane pieśni religijne, w błądzących dookoła oczach dzieci maluje się zdumienie. Po raz pierwszy przeżywają one w swym życiu takie uroczyste nabożeństwo, widzą po raz pierwszy swe matki i ojców wzruszonych do głębi modlitwą do Boga, którego bolszewik wyznawać im wzbraniał.

Zastanawialiśmy się już nieraz, jak się to stało, że pobożny lud rosyjski mógł wytrzymać taki terror, a wprowadzony przez żydów w Rosji bolszewizm mógł tak kraj opanować, że tępił doszczętnie chrześcijaństwo i wiarę w Boga. Jest zawsze błędem, gdy państwo i kościół, gdy religia i polityka wejdą w tak ścisłe połączenie ze sobą jak w carskiej Rosji, że nie można jednego od drugiego odróżnić. Gdy rząd carski w Rosji upadł, upadły także rządy Kościoła, który w ciągu stuleci oddalał się coraz bardziej w swym myśleniu i postępowaniu od reszty świata chrześcijańskiego. A rosyjskie chrześcijaństwo, mimo głębokiej pobożności i zrozumienia u wielu Rosjan, stało się u wielu innych tylko tradycją i przyzwyczajeniem. Zachowywało się zwyczaje religijne, ponieważ się było Rosjaninem i ponieważ religia ta do rosyjskości należała. Takie skostnienie i wyjałowienie chrześcijaństwa dawało okazję do wtargnięcia szatanowi odwiecznie przeciwstawiającemu się Bogu, i ułatwiło w znacznej mierze bolszewizmowi obalenie Kościoła i wymordowanie księży. „Wy jesteście solą ziemi", napisano w piśmie świętym. Te słowa jednak od długiego już czasu nie dały się stosować w pełni do rosyjskiego kościoła. Garstka dobrze myślących i poważnie religię traktujących ludzi nie była dostatecznie silną, aby przeciwstawić się szerokiemu prądowi tylko formalnych chrześcijan, dla których głębokie religijne pojęcie Boga stało się czymś obcym. Gdy rosyjska forma państwa wraz z carem upadła, upadł także kościół i jego zwierzchność. Od tej chwili zaczęła się krzyżowa droga cerkwi, której kres położy dopiero upadek bolszewizmu. Czas cierpień rosyjskiej cerkwi stał się zarazem czasem jej wewnętrznego odrodzenia. Naród rosyjski rozbije młot, sierp i gwiazdę sowiecką przy pomocy Niemiec i sprzymierzonych z nimi ludów, a krzyż chrystusowy zajaśnieje znowu w całym blasku nad niezburzonymi jeszcze rosyjskimi cerkwiami.

Dziennikarze zagraniczni zwiedzają muzeum bezbożnictwa, urządzone w katedrze smoleńskiej na krótko przed zlikwidowaniem. Kukła leżąca na ziemi wyobraża popa.

Na lewo:
Katedra w Smoleńsku, zamieniona z powrotem na kościół, nie może pomieścić wszystkich wiernych podczas pierwszego nabożeństwa. Wiele ludzi stoi przed wejściem.

Modlitwa Stalina:
Boże, rocby cie nawet nie było, pomóż mi jednak!

Fot. Ass. Press (4), Wiktbld, Marc Aurèle

W tej cerkwi leżącej w miejscowości zdobytej przez Węgrów było bolszewickie więzienie. Okna są zabite deskami, by odgrodzić zupełnie więźniów od świata zewnętrznego. Żołnierze węgierscy napisali na ścianie tej cerkwi: „Krematorium ludzi żywych".

Na prawo:
Wnętrze katedry w Smoleńsku w czasie odprawiania w niej uroczystego nabożeństwa.

VLADIMIR NAZOR

WODA

Z CYKLU »NA WYSPIE PRAGNIENIA«

I.

Od przeszło trzech miesięcy nie ma deszczu.

Dnie są długie. Słońce takie gorące i lśniące, że od jego światła oczy bolą, a oddech jest ciężki: coś i w człowieku gorzeje i pali. Przez dzień wszystko jest martwe i ospałe, w zatoce i po wsiach. A w nocy też niedobrze. Wśród tej krótkiej ciemności między późnym zachodem a wczesnym wschodem słońca czujesz tem silniej ciepłotę, co bije z rozpalonych skał, z nagrzanych murów, z wszystkiego tego, czego dotknęły słoneczne promienie w ciągu długiego letniego dnia.

Ale i tym razem — chociaż posucha jest długa i gorąca ak jeszcze nigdy — ludzie na wyspie nie skarżą się tyle jz powodu swoich winnic i ogrodów oliwnych. Słychać głosy, że na wielu słonecznych miejscach, najwięcej na stokach gór, uschły całe rzędy młodych winorośli i młodych oliwek: poschły i poczerniały jakby je co oparzyło. Ogrody są puste. Nie ma nigdzie ni źdźbła trawy. Ale obok jałowców jakby i oliwki i winorośle ciągle się jeszcze opierały przemocy słońca w dolinach i mniej słonecznych miejscach. Pewnie z tego powodu, że wiosna była długa, mokra i bez wiatrów. Wszystko wtedy bujnie puściło liście, pączki i kwitło; napiło się wilgoci. Ponieważ nawet na Wniebowzięcie nie było deszczu, będzie tego roku mniej wina i oliwy, ale — jeśli wnet spadnie deszcz — będzie jednak co zrywać i zbierać, a grona będą słodkie, wino mocne, oliwa jak złoto. Nasze winorośle i nasze oliwki wiedzą, co to letnie susze. Suche, węzłaste i żylaste powoli utracają tę odrobinę kropel wody, jaka jeszcze jest pod ich korą.

I ludzie we wsi cierpią, ale nie rozpaczają.

Wyschły obydwa ich jeziorka, Górne i Dolne; domowe ich cysterny są próżne. Wszystko piorą w morskiej wodzie, którą noszą z zatoki. Wodę do picia i gotowania kupują w dalekich miasteczkach na wybrzeżu. Przez cały dzień, na tym słońcu i skwarze, korowody kobiet noszą z daleka na głowie małe beczułki i wiadra, dźwigają miechy i konwie, co im przygniatają ramiona. I ludzie ci są susi, czarni i żylaści jak ich winne drzewka. Soki w nich zgęstniały; rzekłbyś, że się i wszystkie ich żyły skurczyły i zwinęły w węzły, by nie stracić i tę trochę soków, co im jeszcze pozostało.

Więcej niż rośliny i ludzie, cierpią zwierzęta.

Poznikały stąd rzadkie ptaki tubylce: kosy i drozdy, chociaż od gorąca dojrzały ziarnka jałowców i sok z nich ciecze w postaci długich i cienkich nitek, co się złocą na słońcu. Zamilkły nawet i świerszcze, które piją tylko rosę, więc lato tego roku nie ma swego głosu i swojej pieśni. I głosy pasikoników i świerszczy, co się przesypują w ciche noce, dźwięcząc jak garście perlistych ziarnek rzucanych na jakieś dźwięczliwe płyty, cichną coraz to bardziej i odsuwają się coraz to dalej.

Ale chłopi o to nie dbają; jest coś innego, co ich gnębi i lękiem napawa. Owce i muły cierpią pragnienie: nie mogą dźwigać ciężarów, nie dają więcej mleka. Jedna koza zdechła, a wypadek ten wzburzył całą Wielką Wieś. Kilku starszych ludzi udało się do miasta, by uprosić szybką pomoc od rządu i nająć łodzie, które by przywiozły wody do przystani. Ale łodzie ciężko znaleźć, a władza powiedziała im, że przejdzie kilka dni, zanim marynarka wojenna będzie mogła posłać z Poli wielki okręt, który wozi wodę.

II.

Owych dni ojciec mój bardzo był zatroskany.

Zbliżał się wrzesień. Ojcowa walka z matką o dalsze posyłanie mnie do szkół była już skończona. Przyszedł i list z miasta od ciotki, która odpowiadała, że chętnie przyjmie mnie na mieszkanie i utrzymanie, więc matka poczęła zaraz szyć mi nową bieliznę. Ojciec wołał mnie często do siebie; czytał mi i tłumaczył najmilsze mu wiersze z Wergila.

Ale im posucha była dotkliwsza, stawał się coraz to bardziej milkliwy. Począł na nowo unikać każdego słowa o moich szkołach.

— Coś się tak zatrapił, człowieczę? Choć upał zabierze i jaką kadź moszczu, wino będzie mocniejsze, lepsze i... droższe, — rzekła mu raz matka.

— Ty nie wiesz, co się gotuje w górze we wsi.

— A co? Chłopi się teraz modlą. Ślubowania. Procesje. Kto się zwraca do Boga, nie ma złego na myśli.

— E, było już tak raz, gdym był chłopcem. Susza jak i tego roku. Z początku wszystko cierpliwe i spokojne, a potem... strach Tak, straszne rzeczy, choć wieś była wtedy mniejsza, a ludzie lepsi niż teraz. I wszystko wybuchło w dwa dni po wielkiej procesji, w której szli bosi i gołogłowi, z świecami w ręce, bijąc się w piersi i śpiewając pieśni pokutne. Napadło ich jakieś święte pijaństwo. Czynili ciężkie śluby, spowiadali się publicznie z swoich grzechów, przebaczali i prosili o przebaczenie, posypali głowy prochem.

— No, widzisz.

— Tak. Ale nazajutrz, gdy we wsi zdechło kilka mułów, oszalały pierwsze dwie kobiety, a wnet i cała gromada. Ktoś powiedział, że najbogatsi kryją wodę po domach i że studnie nie są całkiem puste. I wieś powstała. Tłum wdarł się przemocą do mieszkań, przeszukał wszystkie cysterny, rzucił się do piwnic. Mówiono, że w beczkach więcej jest wody niż wina. I wtedy zaczął się napad i rabunek. Gasili pragnienie swoje i zwierząt winem i octem. Do pijaństwa od słońca przyłączyło się pijaństwo z wina. Rzucali się jedni na drugich, broniąc swojego i rabując cudze. Plondrowali i w tej przystani. Nigdy nie widziałem takiej dzikości i złości. Dużo czasu upłynęło, zanim się wieś uspokoiła i podebrała. Ty nie wiesz, co to jest szaleństwo suszy...

— Ale okręt z Poli!

— I wtedy oczekiwano tego okrętu-cysterny. Przyjechał, ale za późno.

Matka nie odpowiedziała. Zamyśliła się, patrząc na igłę, a potem na mnie.

Zgadywałem, jaka jej się myśl kręci po głowie: myśl gorzka i smutna, od której oczy jej wydawały się jeszcze większymi i żałośniejszymi. Ale nie myślałem o tym, co będzie ze mną, jeśli deszcz na czas nie spadnie. Po raz pierwszy dowiadywałem się, że istnieje upiór, który nie błąka się wśród nocnych cieni i nie wyłania się z ciemności i chłodu, by oślepiać i mrozić ludzi i zwierzęta. Schodzi on ze słońca, cały jasny i płomienny, by morzyć gardła pragnieniem i upijać ludzi szaleństwem. Szał Suszy idzie tego roku w słoneczne godziny letnie po przystani i po wsiach. Wypędził wszystkie ptaki, zmusił do milczenia świerszcze, wypił i ostatnią kroplę wody, wysuszył winnice, pozabijał muły i owce, a teraz miesza zmysły ludziom. Po raz pierwszy poczułem, że jest coś potężnego i wrogiego i w tej światłości, co się rozlała po przystani i w tym słońcu, które przez cały dzień patrzy w naszą zatokę. I znowu widzę coś nowego przed oczyma.

— Ojcze, — rzekłem — a czym się odpędza Szał Suszy?

— Wodą, synku — odpowiedział śmiejąc się z moich słów.

A matka zawołała, przejęta znów nadzieją:

— Woda znów idzie dla nas. Przepędzimy i tego potwora. Nie bój się, Vlado!

I nie zawiodła się.

Tego samego dnia doszła z lądu wiadomość, że okręt-cysterna przypłynie jutro do przystani.

III.

Słońce ledwo wzeszło, gdy pierwsze kobiety zeszły z Wielkiej Wsi ku morzu.

Niosły próżne wiadra na głowie. Za nimi biegły dzieci z miedzianymi faskami, którymi się czerpie wodę ze studni, ze skopcami, z mieszkami i tykwami, w których się nosi picie robotnikom do winnicy, z kubłami, w których się daje wodę bydłu. Nadchodzili nowi ludzie dźwigając również drewniane naczynia, jeszcze większe i dziwniejsze: wielkie balie, w których się pierze bieliznę i odzież, kociołki i kotły, które dwóch ludzi może nieść na ramionach tylko wtedy, gdy przez obydwa ucha przewloką drążek. Ale my dzieci zadziwiliśmy się najwięcej, gdyśmy zobaczyli u tych ludzi i kilka niecek, w których się ciasto miesi.

Ludzie zeszli na wybrzeże, by ustawić naczynia wzdłuż samego brzegu; by nabierać morskiej wody i ponalewać jej do wiader i kociołków; by prać, czyścić i wycierać. Nawilżając i poprawiając lepiej dyngi i obręcze oddawna już rozeschnięte i rozchwiane, bali się, że okręt może przybyć wcześniej, nim skończą swą robotę, powstał więc krzyk i dobijanie się do wody. Swarzono się o miejsce, bo wszystko cisnęło się do kraju brzegu; opryskiwali się morską wodą, wyrywali naczynia jedni drugim, twierdząc, że dopiero teraz właśnie odkryli dawną kradzież.

Ale we wszystkim tym nie było prawdziwej złości.

Coś łagodziło ich gniew.

Naraz odezwie się gwizd okrętu-cysterny, zwrócą twarze w stronę wjazdu do przystani i zobaczą okręt, co wyrzuca dym z dwóch szerokich kominów. Okręt się zatrzyma, a oni podniosą wszystkie naczynia, pobiegną tam, zobaczą, jak strugi wody ciekną, szumiąc i pieniąc się, w wiadra, kubły, kotły, beczułki i niecki, więc dusze ich odetchną. Pochylą się, trzymając się rękoma za krawędź naczynia, wyciągną w dół szyje i głowy i pić będą wodę jak owce, jak muły, długo i pożądliwie. Powstaną potem z mokrymi twarzami, a nieco wody spływać im będzie po brodzie i szyi na piersi. Potem dźwigną ciężar na głowę, na ramię lub plecy: spiesznie pójdą do wsi. I brzemienia swego nie będą wtedy nawet czuć: powrót będzie im lżejszy niż droga tutaj z próżnymi naczyniami...

Tymczasem ludzie dalej nadchodzili.

Jak gdyby cała wieś przesiedlała się do nas. Było między nimi i wielu takich, którzy mieli daleko od morza swoje winnice, więc do zatoki nigdy nie schodzili. Prawie wszyscy ci ludzie byli chudzi, ogorzali od słońca, ręce ich pełne odcisków, a palce na pół stężałe, twarze kościste i pochylone plecy, jakby się teraz nachyliły do ziemi, by karczować wyrębisko. Starcy łysi i bezzębni. Dzieci o krzywych nogach i włosach pożółkłych od słońca, podobnych do uschłych kukurudzianych włosów.

— Przyjechał? — wołał prawie każdy, zanim doszedł do wybrzeża.

— O, jedzie! — odpowiadali drudzy, pokazując drżącą mgiełkę przed wejściem do przystani.

Ale to nie był dym okrętu, lecz opary, co się unosiły z morza, nagrzanego już przez słońce, obwieszczając, że ten dzień będzie jeszcze gorętszy i gorszy.

Naraz dał się słyszeć tupot racic i kopyt i kilka kóz wyskoczyło najpierw z uliczki na wybrzeże. Podnosiły głowy w górę, potrząsając nozdrzami i błyskając żółtymi oczami. Nadbiegło za nimi stado owiec, becząc i oglądając się jakby czegoś szukały. Ze dwadzieścia mułów, niepokojonych przez muchy, zapatrzyło się zaraz w owe naczynia na skraju brzegu i poczęło węszyć. Zwierzęta czuły bliskość jakiejś wody; ale jakby przeczuwały, że to może nie jest ta właściwa, więc stawały się jeszcze bardziej niespokojne. Gdy zobaczyły kubły i wiadra, z których zawsze pijały, a w nich coś błyszczącego i lustrzanego, rzuciły się do naczyń. Potykały się w ścisku i zamęcie, depcąc się nogami, splatając rogami, gryząc się zębami.

— Na, moja! Na!

— Nażłopiesz się. Nadmiesz. Zdechniesz.

— Pędź z powrotem! Ścigaj!

Nie było siły, która by je odpędziła. Muły szalały. Tłukły głową i rzucały tylnymi nogami. Niektóre wsunęły pyski w wiadra; poczęły pić morską wodę.

— Jej! nieszczęście! Zdechnie nam do wieczora.

— Nazad! Nazad!

Zaczęły się krzyki i gonienie. Kobiety chwytały owce za szyję, trzymały kozy za rogi, wspinając się jak i one, ciągnąc je na powrozach.

Jakiś dryblas śmiał się z całego gardła; trzymał się za brzuch i pokrzykiwał grubej kobiecie, która, sapiąc jak miech, aż poczerwieniała na twarzy, walcząc ze swoją kozą.

— Hej! Hej! Kumo Mando, a może i ja jestem jakim waszym kozłem! Inaczej by się to skończyło.

I długo jeszcze potrwałby ten zamęt i zgiełk, gdyby kilku ludzi nie wpadło na pomysł.

Skoczyli na skraj brzegu i wylali morską wodę z tych naczyń.

Teraz szły zwierzęta od naczynia do naczynia, liżąc mokre drzewo i becząc, jakby się skarżyły. Patrzyły we wiadra z opuszczonymi głowami, z dołkami na bokach, pokazując żebra i kości ud i kręgosłupa. I wszystkie stały na tym samym miejscu, nie dając się odpędzić od tych naczyń, nie ruszając się, chociaż muchy i gzy zlatywały się na ich krosty i rany, spragnione i one jak jeszcze nigdy.

— O, Boże! Ratunku!

— Co tu począć z tymi bydlętami?

Znowu znalazł się ktoś, kto ich nauczył, co należy zrobić.

Podniósł jedno wiadro i począł nim wabić swoje trzy owce, idąc powoli w tył:

— Na, moja! Na!

I na ten znany zew zwierzęta poszły za nim. Człowiek przeszedł na drugą stronę przystani i przywiązał owce w chłodzie przed drzwiami jakiegoś budynku. Rodzina jego zebrała się ze zwierzętami około próżnego wiadra.

Cały tłum rozsypał się na ten sam sposób; schronił się w cieniu domów, bo słońce było już wysoko i poczynało piec.

Znikąd ni tchnienia wiatru w ciszy przystani.

Ziemia gorzała już pod nogami. Czułeś, że z każdym wdechem wciągasz w płuca niewidzialny płomień.

IV.

W uliczce przed naszym domem było najwięcej chłodu, więc pełna była ludzi — przeważnie starszych — którzy siedzieli na ziemi pod ścianą i na ocembrowaniu naszej studni. A studnia była otwarta, by każdy zaraz widział, że jest pusta. Stały na oścież otwarte i drzwi naszego mieszkania, a w nich stał ojciec; wiedział, że w ten sposób — rozmawiając z ludźmi — najlepiej uchroni swoją rodzinę od jakiej niespodziewanej swawoli lub złości tych ludzi.

Pozdrowienie z obczyzny

Przez okno moje małe, połową otwarte,
W zadumie głębokiej beznadziejnie patrzę
Tam! daleko! — dokąd chmury wiatr przepędza rzadsze,
Gdzie tają nieprzeniknioną dni dalszych zakryła mi kartę —

Marzę... oczy lgną w obrazy, jak w wielkim teatrze...

Życie!... ach czemuś ty dla mnie dotąd jest zawarte?...
Ach, jakże srodzy są strażnicy, pełniący przy nim wartę...

Egoizmem owiane klasy — jednostki najsłabsze!...

O losie, bez słońca... burzliwy mój — i szary!...
Kiedyż się dla ciebie skra szczęścia rozniecí?...
Jak długo jeszcze gnieść będą mnie twoje ciężary?

I czy ja trafię do portu wśród nocnej zamieci?
Bo przecież wielu przede mną na falach zgubiło się marnie...

Ten żywioł jest dobry — każdego przygarnie...

Jan Główka

Oni zaś siedzieli tam i patrzyli w niego płonącymi oczyma, ze zwieszonymi dolnymi wargami, co odkrywały dziąsła pod zepsutymi zębami, i z obwisłymi mięśniami członków i twarzy, podobni we wszystkim do stada spragnionych i wymęczonych zwierząt.

— Wiecie, panoczku, wszystko to się łatwo cierpi, gdy się widzi, że pomocy nie braknie — mówił do mojego ojca jakiś starzec.

— I oto pomoc nam przychodzi. Nie będzie i nam gorzej niż innym na wyspie — rzekł ojciec, akcentując jak mógł najbardziej słowo „nam".

I czułem, jak chciał im przez to powiedzieć, że i jemu przypada część tej nadziei, jaką wlewa w nich i że także i on jest w tej samej biedzie, co i oni, równy im w tym powszechnym nieszczęściu. Opowiadał o tym, jak są zbudowane okręty, co przewożą wodę, z jaką szybkością płyną po morzu i w jaki sposób napełnia się ich wnętrze żywą wodą z miejskiego wodociągu.

— Ha! Ha! — wołali robotnicy mlaskając językami, jakby już czuli w ustach ciek wody, której oczekują.

— Tak! Tak! Niech sobie raz przypomną i o nas, biedakach!

A ojciec podejmował dalej, chcąc ich rozpogodzić i dodać im otuchy. Wyniósł im nawet swój stary barometr. Począł im tłumaczyć i opowiadać, jak ten dziwny instrument pokazuje już od wczoraj wieczór, że deszcz wnet spadnie: przyjdzie jedna z tych nagłych burz, bez których w lecie nie ma u nas deszczu.

Wieśniacy kiwali głowami jakby nie wiele wierzyli w tą rurkę. Więcej wiary czerpali z twarzy tego człowieka, który kiedy indziej był z nimi skąpy w słowach, a wiedzieli, że nigdy nie mówi głupio albo dla jakichś żartów.

— Tak! Woda nadchodzi. Dziś dla nas, a może już jutro dla naszych winogradów i oliwek.

— E, e — szczerzyli ludzie zęby. — Bóg by dał!

Ale dał się słyszeć gruby i uroczysty głos:

— „I spojrzał Pan na ziemię, a ona była zepsuta i pełna nieprawości..."

— Ho! Ho! Oto i on.

A głos ten ciągnął dalej, coraz to silniejszy, jakby chciał się narzucić:

— „I rzekł Bóg Noemu: Oto spuszczę potop na ziemię, by zetrzeć ludzi i zwierzęta, by wyniszczyć wszelkie ciało, w którym jest żywa dusza..."

— Cicho bądź, Profeto!

— Zatkajcie usta fratrowi!

— Mówisz nam o potopie, a my zdychamy z pragnienia.

— „Będzie męka i pokuta; płacz i zgrzytanie zębów. Płaczcie córki jerozolimskie!"

— Milcz, gawronie!

— Idź tam... do bab!

— „Kirie elejson! Kirie elejson!"

I Profeta spuścił głowę na piersi, ucałował krzyżyk u różańca, który mu zwisał u pasa i począł się modlić, jąkając raz po raz nieco głośniej:

— „Exaudi nos, domine!"

Nazywano go fratrem, bo niegdyś służył w klasztorze po drugiej stronie kanału, a gdy we wsi był wiele lat kościelnym sługą, poruszał się i mówił, jak i ci fratrzy, którzy obchodzą wyspę, żebrząc po wsiach. Przydomek „Profeta" zdobył w starości, gdy musiał porzucić kościół i poszedł na żebry, począł bowiem wtedy prorokować, wygłaszając na swój sposób słowa i całe ustępy z Pisma świętego. Chłopcy i dziewczęta stroili z nim żarty, ale starcy i staruszki słuchali go z jakimś strachem, bojąc się najwięcej opowiadania o potopie, o bożych karach w ziemi misyrskiej i o zburzeniu Jerozolimy. Bali się też dużo i niezrozumiałych łacińskich słów, które w ustach Profety jakoś inaczej dzwoniły niż u ołtarza, w ustach proboszcza. W dniach nieszczęścia nikt nie żartował ze starym żebrakiem, ale dziś, gdy się wyczekuje okrętu-cysterny i szjor* Pijero tak opowiada, nikt nie chciał słuchać złowróżbnego proroka.

Żebrak milczał teraz i patrzył ponuro w ziemię.

A ojciec mój chciał, by ci ludzie nie upadli na duchu, by w jakikolwiek sposób zmylić i swoją i ich niecierpliwość, na wypadek, gdyby okręt się opóźnił albo nawet i wcale nie przyjechał. Przerywał rozmowy, które by mogły wzbudzić rozgoryczenie przeciw tym, którzy odwlekali oddawna już obiecane rozszerzenie ich kałuż i budowę nowych studni. Nigdy nie słyszałem go tak mówiącego i nigdy mi się nie wydał takim dobrym. Teraz i ja wierzyłem, że wszystko to zło za chwilę przejdzie; i było mi lżej.

Słuchałem go i ja chętnie, ale nie mogłem się oprzeć pragnieniu, by się wysunąć na przód, na drugi koniec uliczki, gdzie się coś działo.

V.

Kilkanaście kobiet cisnęło się tam do niskiego okna pokoiku, w którym sypiały moje siostry.

Starsza i najmłodsza siostra stały w oknie; trzymały się rękami żelaznych krat i patrzyły na kobiety.

Jakaś mała staruszka z czarną chustką na głowie trzymała się również kraty i mówiła przymilnie:

— Sinjoriny nasze drogie, tylko jedną łezkę! Tylko jedną kropelkę!

— Usuń się, stara! Jak co mają, to nie dla twojej gęby.

— Wszystko, co mogą dać, będzie tylko dla dzieci.

— No! No! Dla dzieci!

I w mgnieniu oka troje małych dzieci, podniesionych przez swoje matki, znalazło się na tym oknie. Stały nogami na prożku, trzymając się kurczowo kraty, i bliskie były płaczu. Chude, blade dzieci ze śliną w kątach ust, z oczyma przestraszonymi.

— No, proś... ładnie!

— Powiedz sam!... One są dobre.

Ale jedno dziecko zapłakało. Poczęło krzyczeć i bić nogami. Matka musiała je usunąć i dwoje innych dzieci znalazło się zaraz na jego miejscu.

Najmłodsza moja siostra prawie się bała, ale starsza patrzyła zamyślona na dzieci, nie mrugnąwszy nawet rzęsami swoich dużych, czarnych oczu.

— Dajcie, dajcie, młoda gosposiu — nacierały na nią wieśniaczki.

Ona zaś stała niezdecydowana. Przypominała sobie jakieś matczyne słowa, lecz gdy jedno dziecko w końcu szepnęło: Wody! — rzekła:

— Ale nie mam kubka.

Wszystkie kobiety się rozradowały.

— O to łatwo!

— O, trzymajcie!

— Przynieście i nalejcie do tego!

— Nie! Nie! Niech sama dzieli. Wszystkim po trochu.

— Wszystkim! Wszystkim!

I siostra przyniosła konewkę z wodą.

Oczy jej teraz błyszczały. Usta się śmiały. Rumieniec rozlał się jej po twarzy. Ręce zadrżały jej ze wzruszenia. Nigdy nie wydała mi się taką piękną i mądrą.

Wzięła od jakiejś kobiety metalowe naczyńko, nalała doń wody, przysunęła je przez rozstęp między dwiema kratami do ust mniejszego dziecka. Malec pożądliwie pił i łykał, by jak najwięcej się napić; lecz ona uważała, by ani kropla się nie rozlała.

— Dość! Dość! Dużo nas jest.

Teraz kobiety szukały naokoło dzieci, chwytały je i podnosiły do okna. Radość panowała w tej gromadce. Matki biegały na wybrzeże, by odszukać dzieci; wracały, niosąc je na rękach.

— Napójcie trochę i tego mojego kanarka!

— Ale ja już nie mam więcej wody.

— Matka wasza ma.

Siostra pobiegła do drugiego pokoju.

Zobaczyłem wnet naszą matkę, jak doszła do bramy i zatroskana powiedziała coś ojcu po cichu.

Lecz on uśmiechnął się; odpowiedział jej głośno, że wszyscy mogliśmy słyszeć:

— Widziałem, widziałem... Tak to jest żono moja. Jeśli zatrzymasz pragnienie przed bramą, wejdzie ci do domu przez okno, choćby w nim były i kraty z żelaza.

— Tak jest, tak! — przytwierdziła gromada.

— Napój jeszcze raz swoje kurczątka, a potem wynieś tym dzieciom wszystko, co jeszcze mamy. Razem z drugimi lżej się i cierpi.

— Sprawiedliwe słowo — zawołał ktoś.

Patrzyłem na ojca, jak na kogoś, kogo dopiero teraz poznaję. Czułem dla niego to, co czuła i ta gromada spragnionych wieśniaków, o których dotąd myślałem, że są ledwo ludźmi i że ich nie trzeba ni kochać, ni nienawidzieć. Tak, ojciec mię uczy, że pragnienie ich jest takie samo, jak i moje, że gdy im nie jest dobrze, słusznym jest, by i mnie tak było. Nie jest więc prawdą, że my jesteśmy jedno, a oni coś drugiego. A ponieważ jest tak, wszystko łatwiej wraz przecierpimy. Coś pięknego weszło przed chwilą, przez kraty tamtego okna, przy uśmiechniętych oczach i zarumienionych policzkach mojej najstarszej siostrzyczki do naszego domu. Chciałbym chętnie, by moje pragnienie było ostre, jak i u tych ludzi i żebym go nie uciszył aż dotąd, dopóki i oni go się nie pozbędą.

I gdy matka wyniosła kobietom tę trochę wody, cośmy jej jeszcze mieli w domu i zawołała mię, bym się napił przed dziećmi, które czekały, przełknąłem ślinę, co mi gęsta napływała już na język i rzekłem:

— Dziękuję! Nie jestem tak bardzo spragniony.

VI.

Gdy stanąłem na wybrzeżu, nie znalazłem tam najsławniejszych wiejskich chłopaczysków, których się spodziewałem.

Jedni z nich odeszli byli na Kargadur, by się wspiąć na najwyższe skały, skąd widać wejście do zatoki. Drudzy zaś pojechali łódką do samych wrót przesmyku, by wyjść ponad kamieniołom, skąd się roztacza widok na kanał i otwarte morze. Umówili się, że nazbierają tam chrustu i rozpalą ogień, skoro tylko zobaczą z daleka okręt-cysternę. W ten sposób oni najpierwsi oznajmią ludziom, że woda przybywa. Ludzie mogą spokojnie siedzieć w cieniu, dopóki nie zobaczą dymów u wejścia do zatoki i na wyżynach Kargadura.

Nie było więc na wybrzeżu postrachu wiejskich dzieci, silnego swarliwca Goliata, ni niespokojnego Siby, lekkiego i zwinnego jak węgorz.

Gromada chłopców zebrała się około jakiegoś drugiego starszego towarzysza.

Był to Kostuś, latami i wzrostem już dorosły chłopiec, ale z wszystkiego innego smarkacz i zaiste jeden z gorszych. Suchy, żółty na twarzy, o małej głowie i długich nogach i rękach, podobny był do kołka, na którym wisi kilka gałganów. Nie mając nikogo ni niczego, włóczył się wszędy, więcej żądając niż żebrząc pożywienia, zdolny długo znosić głód, pragnienie i zimno. Do motyki i rydla zawsze czuł wstręt; unikał każdej roboty, chętnie tylko nosił polecenia z jednej wsi do drugiej, odwalając szybciej niż ktokolwiek najcięższe nawet kawały drogi swoimi długimi nogami. Latem był częstym gościem w naszej przystani i znał w niej każdy kątek. Z daleka już oznajmiał swoje przybycie śpiewem i ofiarował nam w ten sposób swoje nogi za kęs chleba lub za parę groszy. Miał teraz koło siebie kilkunastu chłopców i — pochylony, a z nogami niespokojnymi — podobny był do chudej kwoki, która grzebie ziemię, mając kurczęta przed sobą. Grał z dziećmi „pod nogę", w grę, w której był prawdziwym mistrzem. Stojąc z pochylonymi plecami, kładł grosz na paznokieć kciuka prawej ręki, przytrzymując go palcem wskazującym. Naraz pstrykał kciukiem tak silnie w górę, że paznokieć wydawał głos, a rękę cofał ku sobie. Grosz leciał w górę, kręcąc się przed nim koło siebie, błyskając w słońcu i warcząc jak jakie wrzeciono, by spaść na ziemię, ale nie wcześniej, nim go Kostusiowe nożysko nie nakryło i nie przytupnęło. Pochylał się wtedy jeszcze bardziej, opierając rękę o kolano; a chłopcy kuczeli przed tą nogą, kładąc przed nią na ziemi swoje grosze.

— Reszka!

— Orzeł!

— Połóżcie i gadajcie wszyscy! — zachęcał Kostuś dzieci i wytrzeszczał swoje rybie oczy w pieniądze, licząc je spojrzeniem.

— Reszka! Orzeł! — wołali chłopcy, popychając palcem każdy swój groszak ku Kostusiowemu nożysku.

On zaś pociągał potem powoli nogę w tył, strugając ziemię podeszwą. Ukazywał się jego grosz, ale najczęściej pokryty kurzem. Wtedy Kostuś klękał, schylał głowę i dmuchał w ten grosz.

— Reszka jest! Reszka!

Dryblas szybkim ruchem podnosił wszystkie te grosze, które wygrywał, a rzucał po groszu każdemu chłopcu, który szczęśliwie zgadł.

I zawsze tam jakiś wygrany grosz zostawał w Kostusiowej ręce. Ale prawie za każdym razem było dość krzyku i swarów.

— Ja mówiłem: reszka!

— Łżesz, cyganie! Powiedziałeś: orzeł!

Kostuś umiał tak wrzeszczeć i wybulać oczy, wywijać rękami, że w końcu zawsze mu przyznawali słuszność. Po kłótni gra szła jeszcze żywiej. Grosz warczał teraz jeszcze głośniej, odskoczywszy od Kostusiowego palca i zataczał ładniejsze półkole spadając ku jego nodze. Oczy dryblasa uporniej patrzyły w pieniądze, a podeszwa jego jeszcze mocniej uderzała o ziemię.

Ale tego dnia nie miał szczęścia. Przegrał wszystko swoje. Naraz począł żądać pieniędzy z powrotem, że mu niby niektórzy chłopcy jeszcze z dawniejsza są winni. Ale wszyscy razem się oparli. Widząc, że w ten sposób do niczego nie dojdzie, rzekł:

— A dalibyście tak co, gdybym was nakarmił i napoił?

— No, wtedy to tak!

Kostuś zaprowadził ich na pobliskie podwórze pustego domku.

— Poczekajcie tu. Najprzódzi co przegryziemy.

Wyszedł po kamiennych schodach, wsparł się o bramę bocznego budyneczku. Lecz chociaż rozchwiane i zetlałe, drzwi się nie otwarły.

— Chodźcie tu! Pomóżcie!

Chłopcy pobiegli. Pchnęli wszyscy równocześnie. Coś pękło; drzwi się otwarły uderzywszy o wewnętrzną ścianę. Ukazała się ciasna przestrzeń z cembrowiną, wyślizganą od powrozów.

Dalszy ciąg nastąpi

*) signor, pan

MOTEK RADZI SOBIE

Rys. i tekst: Pawl.

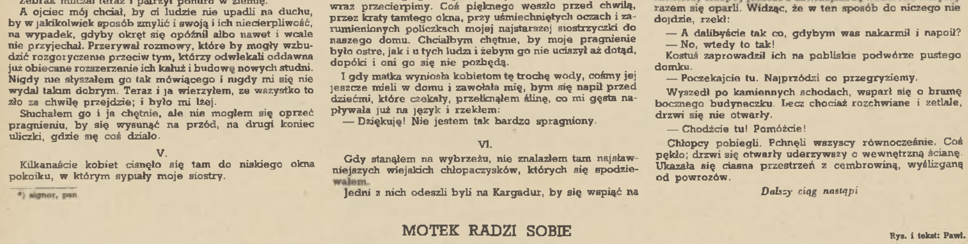

Żaden z nich zapałek nie ma,
A tu „palić" jednak trzeba.

W tym też celu zwinny Motek
Pnie się w górę niby kotek.

Knotek pomysł Motka chwali...
Jest szczęśliwy, że już pali.

Chwaląc sobie spryt prawdziwy
„Dymią" jak lokomotywy.

KRAJ bez wieśniaków

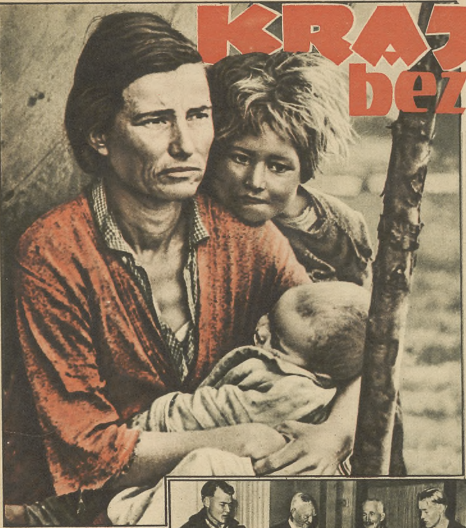

Z osiadłych od pokoleń wieśniaków, którzy jakby korzeniami wrośli w swą rolę, stali się ci ludzie pozbawionymi ziemi nędzarzami, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce szukają pracy i utrzymania. Na ilustracji górnej widzimy żonę jednego z takich nędzarzy z dwojgiem dzieci.

Na prawo:
Delegacja farmerów ze Środkowego Zachodu, obszaru specjalnie dotkniętego nędzą, u jednego ze współpracowników prezydenta Roosevelta.

Gdy w XIX stuleciu skutkiem przyrostu ludności coraz ciaśniej zaczęło się robić w Europie, kto był politycznie prześladowany lub miał morderstwo na sumieniu, szedł chętnie za głosem, idącym z kraju „nieograniczonych możliwości", pełnym wabiących przyrzeczeń, organizował sobie przejazd i jechał do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki. W tym kraju obfitującym w dobra materialne ludzie byli artykułem pożądanym i to ludzie, którzy byli zdolni trzebić puszcze, zaorywać stepy, brać udział w wewnętrznych wojnach amerykańskich, zostać robotnikami w wielkich fabrykach przemysłowych, którzy by zaludniali wielkie obszary między Pacyfikiem a Atlantykiem. Nie pytano o pochodzenie, nie żądano pieniędzy, bo potrzebowano ludzi pracy i przyznawano im wszelkie ułatwienia. W tych czasach wyemigrowało setki i tysiące polskich wieśniaków, którzy nie chcieli dzielić szczupłego kawałka ziemi ze swymi braćmi, za ocean, gdzie otrzymali tyle ziemi ile zdołali uprawić. Z wieśniaków stali się farmerami, wypalali trawę stepów i karczowali w pocie czoła lasy, wyrywali korzenie i zasiewali tytoń, ryż albo bawełnę. Gdy ziemia się wyjałowiła, gdy malały plony, brano w posiadanie w innych stronach nowe szmaty ziemi, bo przecież uczuć przywiązania do tej nowej ojcowizny ci pionierzy mieć nie mogli. Chodziło im tylko o interes i zysk z plonów. Uprawiali oni to tylko, co mogli korzystnie sprzedać. Nie zadawali sobie trudu uprawiania różnych płodów ziemi, prowadzenia racjonalnej gospodarki na roli, tylko produkowali to, co miało największy pokup w danej chwili na rynkach światowych. Byli na służbie kultury jednego gatunku. Później dopiero przyszła reakcja, przyszły wielkie klęski. Gdy wszystka wolna ziemia została już rozdarowana i dalsze rozszerzanie pojedyńczych gospodarstw było utrudnione, okazało się, że ziemie, na których siano tylko tytoń lub pszenicę były bardzo wyjałowione. Mściło się także gwałtowne i bezwzględne karczowanie lasów, prowadzone na zbyt wielką skalę. W rezultacie na miejscu pierwotnych puszcz wytworzyły się pustynie i stepy. Nadeszły lata, w których błogosławieństwo urodzaju złocistej pszenicy stało się przekleństwem dla farmerów w Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Rosji, Argentynie i w Stanach Zjednoczonych, gdyż wskutek nadprodukcji musieli oni obniżyć ceny swych plonów, by otrzymać choć trochę pieniędzy za towar. Ceny za płody rolnicze spadały, a z nimi malał zarobek farmerów, którzy nie byli już w stanie zaopatrzyć się w niezbędne sprzęty rolnicze. Dziś ludność żyjąca z rolnictwa w Stanach Zjednoczonych stanowi wciąż jeszcze 25% całej ludności, zarabia ona jednak tylko 9% ogólnych dochodów. W latach 1914—1918 straciło 700 000 farmerów swą niezależność, ponieważ ich posiadłości przymusowo zlicytowano. Amerykańscy farmerzy obiecywali sobie wiele po wyborze prezydenta Roosevelta, wierzyli w jego politykę gospodarczą, głosami farmerów został on wybrany prezydentem. Ale spekulacja i przemysł dalej mają przemożny wpływ na rolnictwo, środki na popieranie rolnictwa są w niedostatecznej ilości przyznawane i pracownicy rolni żyją tam poniżej tego poziomu, na którym żyją pracownicy innych gałęzi gospodarczych w Stanach Zjednoczonych. Piękne czasy farmerów skończyły się już przed wojną światową. Ameryka pozostała krajem bez wieśniaków-rolników — całym sercem związanych z uprawianą przez nich ziemią żywicielką. Gospodarstwo rolne w Ameryce jest tam nadal tylko interesem i to interesem wyłącznie spekulacyjnym.

Fot. Sig. Seller

Maszyna na ilustr. u góry, będąca połączeniem pługa i brony obrabia 30.000 mórg pola przy pomocy sześciu ludzi.

Na lewo:
Zaczęto budować drapacz chmur, miało powstać w tej okolicy miasto, ale ludzie przenieśli się gdzie indziej i obecnie pasą się trzody bydła tam, gdzie planowano ulice i domy.

Również temu farmerowi powodzi się coraz gorzej. Pobliska puszcza dziewicza i step wdzierają się coraz bardziej i niszczą pracę rolnika. Nawet ostatnia krowa, wychudzona na szkielet z trudem znajduje pożywienie.

Bawełna zamiast jedwabiu

Stosunki między Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Japonią są coraz bardziej naprężone. Doszło już do tego, że USA. wstrzymały dowóz olejów i benzyny do Japonii, ta zaś w odpowiedzi wydała zakaz wywozu jedwabiu do USA. Znajdujące się w składach zapasy jedwabiu zostały przez rząd amerykański zarekwirowane na cele wojenne. U góry: Kobiety amerykańskie oblegają sklepy i robią zapasy pończoch jedwabnych, których wkrótce w handlu zabraknie.

Ta aktorka z Broadway'u nosi zamiast jedwabnych pończoch, pończochy bawełniane, bo szczupłych zapasów japońskiego jedwabiu nie wolno już w USA przerabiać na pończochy. Jedwabne pończochy są obecnie w USA coraz większą rzadkością.

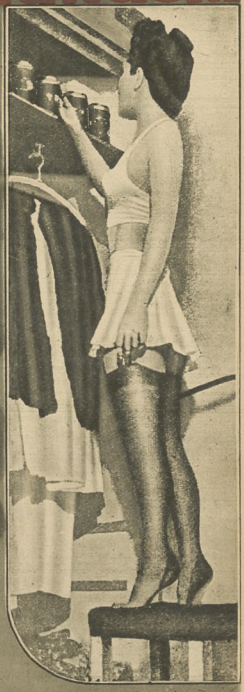

Angielska gazeta Daily Mirror poleca dziewczętom pełniącym służbę obywatelską, wkładać pończochy jedwabne po gruntownym oczyszczeniu do ogrzanych słoików konserwowych, by dłużej trwały. Bo w Anglii nie można już od dawna kupić żadnych pończoch jedwabnych i smukie nogi angielskich pań i dziewcząt muszą się zadowolnić mniej eleganckim okryciem.

Brak pończoch jedwabnych nasuwa panjom amerykańskim różne pomysły. Na ilustracji widzimy aparat rozpryskujący farbę w ten sposób, że maluje wprost na nodze wzorzyste pończochy jedwabne. Miejmy nadzieję, że farba jest trwała i nie zmywa się, gdyż można by przeżyć w czasie deszczu przykre niespodzianki. No, ale jak zmienić taką pończochę?

Atak kobiet amerykańskich na sklepy z pończochami jedwabnymi opróżnił je w bardzo krótkim czasie. Te trzy gracje, którym udało się zdobyć pewien zapas tych ginących w handlu pończoch jedwabnych cieszą się ze swojej zdobyczy.

Fot. Ass. Press, Keralle

NOWY TEATR W WARSZAWIE

»MASKA«

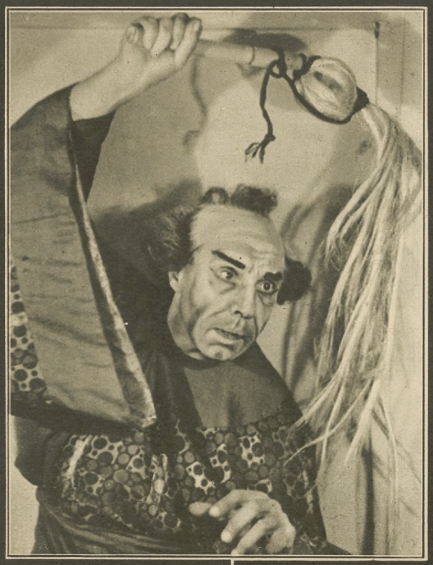

U góry: Karol Urbanowicz w stroju bonzy z „Madamme Butterfly". Jest to jeden z najbliższych współpracowników p. St. Drabika, który zarówno jako reżyser, jak i śpiewak w „Madamme Butterfly" i w „Cyruliku Sewilskim" przyczynił się w znacznej mierze do sukcesu obu tych oper. *Fot. Borek — I. K. P.*

Tadeusz Wo-liński, tancerz baletowy. *Fot. Łuczyński Zajączkowski*

W Warszawę czeka w nadchodzącym sezonie pierwszorzędna atrakcja teatralna: oto we wrześniu otwiera swoje podwoje nowokreowany przybytek lekkiej muzy — „M a s k a". Nowy ten teatrzyk zasługuje ze wszech miar na uwagę już choćby ze względu na ogrom pracy i kosztów jaki weń włożono. I tak przerobienie sałki kinowej na par excelence teatralną powierzono inż. Moszkowskiemu, znakomitemu twórcy wielu teatrów w kraju i zagranicą. Zarówno rozplanowanie sali, jak wyposażenie sceny w najnowocześniejsze urządzenia oraz bogactwo świateł (specjalne reflektory) dadzą oprawę, jakiejśmy jeszcze po wojnie nie widzieli.

Tyle, co do strony „technicznej".

Niemniej atrakcyjnie zapowiada się strona artystyczna. P. dyr. Janusz Kamieńobrodzki kompletuje zespół, który mówi sam za siebie.

W programie otwarcia zobaczymy „słowika" Warszawy Lucynę Szczepańską, cenionego barytona Zakrzewskiego i doskonałego wodewilistę Rakowieckiego. Humor reprezentować będzie doskonały aktor komediowy Stanisław Jaworski.

Lucyna Szczepańska, Zakrzewski i Chodakowska na próbie. Przy fortepianie kapelmistrz teatru „Maska" J. Silich.

W dziale tanecznym niezawodny balet Ostrowskiego z największą rewelacją taneczną młodziutką a już bezkonkurencyjną S t a n i s ł a w ą S e l m ó w n ą na czele w otoczeniu „starej" i znanej gwardii — Tadeusza Wolińskiego i Kazimierza Maciaszczyka. W zespole kobiecym zobaczymy ponadto oryginalną Olę Glinkównę mającą za sobą szereg sukcesów zagranicą w byłym Polskim Balecie Reprezentacyjnym.

Kierownictwo literackie i artystyczne Witolda Zdzitowieckiego daje rękojmię, że zarówno poziom rewii jak i dobór zespołu będzie na bezkonkurencyjnym poziomie.

Wszystko wskazuje na to, że nareszcie Warszawa tak bardzo Melpomenę kochająca, otrzyma godny siebie przybytek.

Skończą się więc „m o n o p o l o w e" wyczyny gangsterskich metod teroryzowania aktorów i publiczności ordynarnością i pornografią świeżo upieczonych „s p e c ó w", którym dawniej nigdy się nawet o teatrach nie śniło; toteż dorwawszy się do nich, rzucili się oni do napychania sobie kieszeni wszelkimi sposobami i drogami. Nowa placówka ma więc zaszczytną misję wykazania, jak powinien teatr z prawdziwego zdarzenia wyglądać, nie zaprzągnięty w rydwan szmiry i banalu „niedonoszonych grafomanów"!

Wierzymy, że tak się stanie!

Czesław Pudłowski

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Jak widzimy z dzisiejszych naszych zdjęć, najważniejszym momentem przy fotografii amatorskiej jest jednak samo podejście do tematu. Tak na pierwszym jak i drugim zdjęciu na pozór nic się nie dzieje. Tu babcia „tylko" siedzi, a tam znów konie „tylko" szczypią trawę. Prosimy fotoamatorów zauważyć jednak, jak zręcznie zostały zdjęcia uchwycone. Weźmy naprzód zdjęcie pierwsze. Przede wszystkim znajduje się ta staruszka na wspaniałym pod względem fotograficznym tle. Poza tym skupiony i zamyślony wyraz jej twarzy i złożone ręce nadają zdjęciu uroku.

Drugie zdjęcie jest również przede wszystkim bardzo naturalne. Już też konie, albo w ogóle zwierzęta, pozować nie potrafią! Prosimy popatrzeć na wygięte szyje koni sięgających po trawę, przy czym widać, że koń z lewej strony ma niewygodniejszą pozycję.

Pierwsze wykonał p. Sosnowski z Krakowa, drugie p. R. Maciejewski z Jaktorowa.

Jaś spał tej nocy bardzo niespokojnie. Rano znalazła go matka leżącego przed łóżkiem na podłodze. — Nie czułeś, Jasiu, jak wypadłeś z łóżka? — pyta go matka. — Słyszałem, że coś upadło, ale nie wiedziałem, że to ja jestem.

*

PIĘKNE ZA NADOBNE

— Pan nosi perukę? Jak można chodzić po świecie z włosami innego człowieka na głowie?

— Przecież pan także chodzi z wełną innego barana na skórze.

W WIĘZIENIU SING-SING

— I ty tu! A za cóż ciebie zamknęli?

(Marc Aurelio)

Ela obchodziła urodziny. — Przeżyłam dotąd dwadzieścia pięknych wiosen — mówi do przyjaciółek. — A te drugie były brzydkie? — pytają one.

POWAŻNY WYPADEK

— Panie doktorze, panie doktorze... Połknąłem balon nadęty powietrzem... Co mam robić?

— Skoro pan już jest na górze, to proszę zdjąć pajęczynę.

(Marc Aurelio)

*

— Mam nadzieję, dziadku, że nie gniewasz się, że kocham się w tej primadonnie?

— Skądże, kochany wnuku. Ja kiedy byłem w twoim wieku także się w niej kochałem.

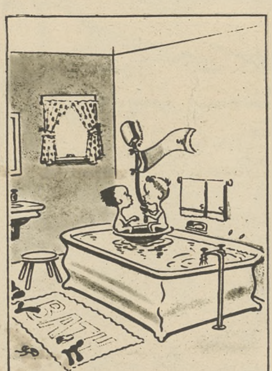

— Jeśli ratunek szybko nie nadejdzie, będziesz musiał dać nurka, Jasiu i otworzyć rurę odpływową.

(Saturday Evening Post, Ameryka)

*

— Staszek jest naprawdę nie wychowanym chłopcem. Kiedy wczoraj z nim rozmawiałam, otworzył pięć razy usta i ziewnął niemiłosiernie.

— Czy jesteś pewna, że naprawdę ziewał? Może chciał też coś powiedzieć?

*

POJEDNANIE

— Byłem niedawno świadkiem pojedynku. — opowiada pewien pan drugiemu.

— No, i jaki był wynik?

— Wrogowie pogodzili się przed pojedynkiem.

— Cóż w tym dziwnego?

— Dziwne jest tylko to, że kiedy się ściskali z radości, zgniótł jeden drugiemu dwa żebra.

*

NA JEDNEJ NODZE

— No, nareszcie — oddycha Emil z ulgą wysiadając z trudem z napchanego tramwaju. — Przez cały czas musiałem stać na jednej nodze.

— Tak, to była moja noga — odzywa się drugi pasażer.

FOTO KUPNO SPRZEDAŻ APARATÓW I SPRZĘTU NAPRAWY
Polerowanie i klejenie objektywów
„BrOt" — WARSZAWA, Al. Jerozol. 35

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 21 (24).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 21 (24).
Dr. E. Palkoska (II nagr. — B. C. P. S. Inf. T. 1927).
Czarne: Kd5, We5, Gg1, Sh7; piony: a5, b5, d6, e3, g4, h5. (10).
Białe: Kh4, Hf4, Wc6 c7, Sg3; pion: f6. (6).
3-chodówka 6+10=16.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 21 (24).
E. Richter („Ceskosl. sah" 1930).
Czarne: Kg8, Wf8, h8; piony: c7, f7, h7. (6).
Białe: Kd7, Wa8; piony: b2, f2, h2, h6. (6).
Końcówka (+) 6+6=12.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 20 (23) (Brenander): 1. G—h8 (grozi 2. S—f2† K—h2 3. H—h4.×.) I. 1... W×h8 2. H—a1 f×g4 3. H×h8 mat.

Rozwiązanie końcówki Nr. 20 (23) (Kubbel): 1. K—d7 e4 2. K—e6 K—g7 (A) 3. K—f5 e3 4. G—c4 h4 5. G—d3 K—h6 6. K×f6 e2 7. g7 (B) e1 H 8. g8 S poczem 9. G—g8 mat.
(A) 2... e3?? 3. K—f6 i 4. g7. ×.)
(B) 7. G×2e? pat.

B. DZIAŁ PARTII.

PARTIA Nr. 38 (41).

Białe: Reinhardt — Czarne: Dr. Törber
grana w turn. Klubu w Hamburgu 1937.
Gambit hetmana.

1.	d4	d5	15.	b4!	S—f7(6)
2.	c4	e6	16.	G—g5†	K—c7(7)
3.	S—c3	c6	17.	b×c5	G—e5(8)
4.	e3	S—d7	18.	d6†	K—b8
5.	S—f3	f5	19.	G—e7	H—e8
6.	G—d3	H—f6(1)	20.	c6!	b6
7.	H—c2	S—h6	21.	S×e5(9)	Sd× e5
8.	0—0	G—d6?	22.	c7†	K—b7
9.	c×d5	e×d5	23.	S—c5†	b×c5
10.	e4!!(2)	d×e4	24.	Wa—b1†	K—c6
11.	G×e4	f×e4(3)	25.	H—a4†	K—d5
12.	S×e4	H—f8(4)	26.	Wb—d1	K—e6
13.	W—e1	K—d8	27.	H—g4 mat.	
14.	d5(5)	c5			

UWAGI:

(1) To i następne posunięcie ma na celu odbicie przy wymianie w centrum pionem e×d5 — ważna zasada w wariancie Stonewall.

(2) Kombinacja ta jest możliwą dlatego, gdyż otwiera białym linie dla ataku i pozbawia czarne roszady. Ta sama idea została zastosowaną w partii Grohmann—Engels (Akwizgran 1934).

(3) Mniejszym złem byłoby nieprzyjęcie ofiary figury.

(4) Stosunkowo najlepsze, gdyż w razie 12... H—e6 nastąpiłoby 13. Sf—g5, a w razie 12... H—g6 13. S—h4!

(5) Konsekwentnie grano. Czarne nie mogą dopuścić do otwarcia linii d.

(6) Partia Grohmann—Engels miała do tego punktu tensam przebieg. Engels grał w tej pozycji 15... S—g4 i przegrał w następujący sposób: 16. G—g5† Sg—f6 17. Wa—c1 b6 18. S—d4! S—e5 (c×d4 H—c8!) 19. S×d6 H×d6 20. W×e5 c×d4 21. G—f4 d3 22. H—d2 H—d7 23. d6 W—e8 24. W—c7 H—g4 25. f3 H—g6 26. W—g5 W—e2 27. W×g6 W×d2 28. W×g7 W—c2 29. Wc—f7 K—e8 30. W×f6 d2 31. W—e7 czarne poddały się.

(7) Lub: 16... S×g5 17. Sf×g5 S—e5 18. S×d6 H×d6 19. W×e5 i t. d.

(8) Czarne mają przegraną w każdym razie n.p.: 17... G×c5 18. d6† albo: 17... S×c5 18. S×d6 H×d6 19. G—e7.

(9) Białe grają na mata.

PARTIA Nr. 39 (42).

Białe: Letelier — Czarne: Salas
grana w Chile w r. 1937.
Gambit środkowy.

1.	e4	e5	14.	f4	G—b7
2.	d4	e×d4	15.	W—f2	H—f5(3)
3.	c3	d×c3	16.	Wa—d1	h5(4)
4.	G—c4	S—c6	17.	W—e2	S—h6
5.	S—f3	c2	18.	W×d7!	K×d7
6.	H×c2	G—b4	19.	e6(5)	K—d8
7.	S—c3	H—e7(1)	20.	e×f7	c5
8.	0—0	G×c3	21.	H—d1†	K—c7(6)
9.	b×c3	S—e5?	22.	W—e7†	K—c6
10.	S×e5	H×e5	23.	H—f3	K—d6
11.	H—b3	H—f6	24.	H×b7	Wa—c8
12.	e5(2)	H—g6	25.	G—d3	H—g4
13.	G—a3	b6	26.	f5 Czarne poddały się. (7)	

UWAGI:

(1) Czarne tym i następnym posunięciem zaniedbują w karygodny sposób rozwój swej partii. Lepsze było: 7... d6.

(2) Biała partia rozgrywa się teraz z łatwością.

(3) f5 musiało być uniemożliwionym. W razie 15... S—h6 16. f5! S×f5 17. G—d3!

(4) Lepiej odrazu 16... S—h6 poczym ew. 17... 0—0—0.

(5) W razie 19... H×d7 rozstrzygałoby również: 19. e6.

(6) 21... H—d7 22. W—d2.

(7) 26... H—d1† 27. 27. G—f1.

PARTIA Nr. 40. (43).

Białe: Engels — Czarne: Stein
grana w turn. w Królewcu w r. 1938.
Hiszpańska.

1.	e4	e5	9.	S×e5	G—e6
2.	S—f3	S—c6	10.	f3	S—d6
3.	G—b5	a6	11.	S—c3	S—b5
4.	G—a4	S—f6		f4	S×c3
5.	0—0	d6	13.	b×c3	H—f6
6.	G×c6†	b×c6	14.	f5!	H×f5
7.	d4	S×e4	15.	W—f1	H—e4
8.	W—e1	d5	16.	W—f4	Czarne poddały się.

UWAGI:

7 Cz. Prostszym było grać 7... e×d4!

8 Cz. Błąd, który pociąga za sobą przegraną. Należało grać: 8... f5 i po 9. d×e5 d5.

9 Cz. Ponieważ białe groziły przede wszystkim f3, czarne nie mają czasu na obronę piona c6.

13 Cz. Ta obrona przeciw groźbie f5 wygląda na pozór nieźle. Okaże się jednak, że białe dalej liczyły. Zresztą nie było już ratunku dla czarnych.

16 B. Zabawna pułapka na hetmana, po której czarne zrobiły jeszcze kilka posunięć bez znaczenia.

Cyrulik Sewilski

Już nieraz na ekranie podziwialiśmy wątek stanowiły znane opery. Rewelacyjnym filmem dzięki przepięknej muzyce i wspaniałej wystawie stała się przeróbka opery komicznej „Cyrulik sewilski". A treść filmu pogodna: Bartolo, opiekun ślicznej, bogatej Rozyny postanawia się z nią ożenić i dlatego sprzeciwia się małżeństwu jej z hrabią Almaviva. Małżeństwo to również nie jest na rękę dawnej kochance hrabiego Zuzannie. Zakochanej parze przychodzi z pomocą były służący hrabiego, cyrulik sewilski, Figaro. Sprytny i przedsiębiorczy, tysiącem forteli i podstępów walczy z przeszkodami i przeciwnikami hrabiego. Osiąga też niezwykłe rezultaty. Jakie, zobaczymy na ekranie.

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900